Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 33. Poznań, dnia 11. Listopada. **1839.**

Literatura zagraniczna.

Der Mond nach seinen kosmischen und individuellen Verhältnissen, oder allgemeine vergleichende Selenographie, mit besonderer Beziehung auf die von Verfassern herausgegebene: *Mappa Selenographica* von W. Beer und J. H. Mädler. 2 Theile mit 5 Tafeln. **Berlin 1837.** (7 Thlr.)

(Dokończenie.)

Następuje część fizyczna, właściwa topografia księżyca, wykazująca przegląd jego powierzchni, owoc siedmioletniéj pracy. Własność i postać gór księżycowych,*) ich spadzistość i wysokość przechodząca względnie o wiele nasze góry, ich zwyczajna i wyraźna postać ostrokręgowa czyli lejowata i ztąd wypływająca formacya gór w kształcie wieńców, pierścieni, kraterów. Największe kratery naszych wulkanów są niczem w porównaniu z księżycowemi; pokazują one wyraźnie grunt na dnie, gdy przeciwnie ziemskie są czarnemi otchłaniami.

Ale najosobliwszem fenomenem są tak nazwane promieniste systemy i szpary czyli szczeliny księżycowe. Około siedmiu najwyższych gór pierścieniowych, rozciągają się naokoł w kształcie promieni świetne pręgi. Ten sam fenomen, choć mniéj swietny spostrzegać się daje i przy innych pierścieniowych górach. Pręgi te zaczynają się dopiero w pewnéj odległości od spodu zwykle ciemniejszego; i rozciągają się od 30 — 120 mil długości przez doliny, pasma gór, kratery, szczeliny i wszystkie księżycowe formacye. Rozgałęzają się w swym biegu, krzywią się niekiedy i łączą pręgami poprzeczniemi, przerywane niekiedy mniéj świetnemi pręgami, giną nareszcie w równinach lub też górach. Gdzie te promienie mocniéj błyszczą, przechodzą w pełni księżyca świetnością swoją wszystkie księżycowe zjawiska, wyjąwszéj bardzo jasne kratery. Dawniejsi astronomowie, a mianowicie Schröter, mieli je za pasma gór, ale Beer i Mädler dowiedli, że ta jasność od wypukłości gruntu pochodzić nie może. Herschel uważał je za potoki lawy, wyrzuconéj z potężnych kraterów, rozlewającéj się na okół; lecz ta hipoteza sprzeciwia się prawidłom ciężkości, ponieważ te pręgi przeskakują wzniosłości do 9000 stóp wynoszące. Jeszcze mniéj do prawdy podobne przypuszczenie, że z tych centralnych punktów gór pierścieniowych ciągle rozchodzi się światło, ponieważ te promienie sięgają na powierzchni księżyca częstokroć dwadzieścia razy daléj, jak wysokość góry jest widoczną, i ta pogrążoną jest jeszcze niekiedy w ciemnéj nocy, gdy oddalone końce pręgów już błyszczyć zaczynają. Nie pozostaje zatem nic więcéj, jak przyjąć, że grunt księżyca przez jaką zmianę rewolucyjną, lub też pierwiastkową formacyą, nabył w owych promienistych miejscach własności mocniejszego odbijania światła. To tylko pewna, że fenomen ten z formacyą gór pierścieniowych, będących zwykle centralnym punktem takich promieni, w ścisłym zostaje związku.

Trudniejsze jeszcze do odgadnienia są owe dziwne szczeliny. W nie to szczególniéj bije konjekturalna Selenografia, upatrująca w księżycu przedmioty do naszych tellurycznych form i dzieł podobne. Są to wązkie, długie, proste albo nieco zgięte czasem wężykowate wydrążenia czyli szpary. W największych i najjaśniejszych dostrzedz można, pomimo tak małéj szerokości, widoczny ślad cienia. Przechodzą niekiedy w swym biegu przez małe kratery, albo tuż koło nich i najczęściéj kończą się kraterem; niekiedy rozciągają się odosobnione w równinie i ich końce nie są żadnym widoczniejszym punktem oznaczone. Udano te szpary za rzeki lub kanały, z małem jednak do prawdy podobieństwem. Inni mieli je za gościńce Selenitów, ale przypuszczenie zakładania na księżycu kunsztownych dróg

*) Najwyższe gór pasmo na północy półkóli księżyca pod nazwiskiem Apeninów, nieuszło bacznego oka starożytnych. To się okazuje z słów Plutarcha w rozprawie »o twarzy księżycowéj«, ponieważ te góry w czasie pierwszéj kwadry tak widocznie wynurzają się z strony zaćmionéj, że ich już gołem bystrém okiem dostrzedz można.

żwirowych (szkoda, że nie kolei żelaznych!) naszym ziemskim podobnych, supponowałoby zbyt wielkie podobieństwo między temi ciałami. Już ta sama okoliczność, że są dla nas widoczne, okazuje ich szerokość od 1200 — 1800 stóp, a niekiedy daleko więcéj. Na tak szerokie bite drogi podług naszego anszlagu trudnoby było znaleźć akcyonaryuszów; lecz na księżycu, gdzie massy sześć razy są lżejsze dla mniejszéj siły ciężkości, może potrzebne są trakty tak ogromnéj szerokości, dla wozów sześć razy od naszych ogromniejszych. W okolicy Guttenberga widać takie trzy długie równoległe szczeliny, tylko dwie mile od siebie odległe.

Farby na księżycu przebiegają skalę od śnieżno białego aż do czarnego koloru, w różnych punktach rozmaite czyniąc cieniowania. Tak nazwane *mare serenitatis* pokrywa blask zielonawy, w *mare crisium* farba zielona pomieszana z szarą, w *mare humorum* obiedwie te farby są wyraźnie rozłączone i zielona zajmuje większą część powierzchni. Słaba, jakoby brudna zielona farba odznacza *mare frigoris*; niewyraźny kolor *palus somnii*, widocznie odgraniczonéj krainy, zdaje się być właściwie żółtym, miejscami atoli widać czerwony odblask. Wszystkie te cieniowania pokazują się tylko w pełni księżyca, po dwóch lub trzech dniach już ich napróżno szukać będziesz. Beer i Mädler powątpiewają, czy nam się uda kiedy odkryć przyczynę tego cieniowania światła, nieczyniąc na wytłómaczenie tego fenomenu żadnego domysłu; dodają tylko, że okoliczność ta zbija ten domysł, jakoby księżyc był krainą lodowatą, wiecznym śniegiem okrytą; zdają się więc przypuszczać, że może być skutkiem roślin różnofarbnych okrywających powierzchnią księżyca.

Nasi autorowie przyjmują, że ciała niebieskie są to indiwidua mało albo wcale nic wspólnego z sobą nie mające, wyjąwszy skutki powszechnego w naturze prawa ciężkości; lubo więc z teleologicznych powszechnych powodów możemy przyjąć na nich mieszkańców, ci jednak zupełnie różnéj natury być muszą. Czy na księżycu mieszkają żyjące, rozumne istoty, na to niemasz żadnego i najmniejszego dowodu. Owszem ktokolwiek z stósunkami optycznemi, jakkolwiek jest obeznany, ten, przypuściwszy nawet najrozleglejsze spodziewane rozszerzenie wzroku naszego, pożegnać się podobno musi na zawsze z ową wymarzoną nadzieją, że nam się uda kiedykolwiek, zapomocą olbrzymiego jakiego teleskopu, własnemi oczyma ujrzeć mieszkańców księżyca, a to z następujących przyczyn: Wiemy, że i najbystrzejsze oko nieuzbrojone, w odległości jednéj mili, ledwo człowieka rozpoznać może. Księżyc zaś jest 51,000 mil od ziemi odległy; aby go więc na milę odległości niejako do ziemi zbliżyć, potrzebaby pięćdziesiąttysięcznego zbliżenia. Dotychczas zaś 300 krotne zbliżenie za pomocą najlepszych teleskopów jest największe. Nasze więc optyczne środki musiałyby się od 300 do 51,000 wydoskonalić; lecz nie dosyć na tém: ziemska atmosfera musiałaby w tym samym stósunku, to jest 170 razy stać się przezroczystszą i 170 razy prędszy bieg księżyca oddalający się od wymierzonego nań teleskopu, należałoby znieść zaradczemi środkami. Kto więc tego wszystkiego chce oczekiwać, ten niech się karmi nadzieją odkrycia istot w sąsiedzkim świecie, dopóki mu się czekać nie naprzykrzy.

Nigdy więc podobno człowiek, jak kret kopca, nie zdoła z swéj siedziby, którą rozruchem i waśniami napełnia, rzucić okiem na dziedziniec swego najbliższego sąsiada.

K.

Literatura krajowa.

Poezya.

Kto godzien palmy.

Nie ten męczennik, kto na głos zawoła:
»Patrzcie, ja cierpię, krew ocieram z czoła,
Cierpię za ludzkość, siebie zapominam,
Jednak pod krzyżem męki się nie zginam; —
Patrzcie, i palmę gotujcie mi ludzie,
Bym nią ochłodził czoło po mym trudzie!«
Nie ten męczennik, kto wdziawszy kajdany
Wnet swojéj doli bluźni i złorzeczy,
Na piersiach błahe ukazując rany,
Które głaskaną próżnością uleczy;
Dumy wawrzynem jest ludzka pochwała,
Wyższém pragnieniem syn ziemi niepała.

Ani zaprawdę ten jest męczennikiem,
Kto z życia czaszy wprzód rozkosz wypije;
A gdy goryczy zaczerpnie językiem,
Wykrzywi usta i jak wąż się zwije,
Sycząc na życie ironicznym śmiechem,
I rażąc wkoło zepsutym oddechem.
Palma męczeństwa rzadsza jest od wieńca
Laurowych liści; po nią nie dosięga
Zuchwała ręka wrzącego młodzieńca,
Ni urok lutni, ni władzców potęga;
Trzeba być silnym wiarą, poświęceniem,
Trzeba się zbratać pokorą z cierpieniem.

Palec to Boży wisi nad tą głową,
Co na swym czole koronę cierniową
Ma godnie nosić. — Boża to prawica
Namaszcza żywot balsamem świętości,
Wprzód, zanim w łonie wielka tajemnica,
Jako w skarbnicy wyroków zagości.

Być męczennikiem, zesłanym prorokiem,
I nieść na sobie niezachwianym krokiem
Ludzkości całéj okup lub karanie,
Nad wyraz wielkie, święte powołanie:
Trzeba być silnym wiarą, poświęceniem,
Trzeba się zbratać pokorą z cierpieniem!

Precz więc niegodni — przez nienamaszczeni,
Popiół bez iskry serc nierozpłomieni,
Z dymem ulecą wysilenia harde;
Wam pod pręgierzem zachwieją się nogi,
Ugniecie kolan, by czcić nowe Bogi,
I zamiast palmy zyskacie — pogardę.
Ale kto przetrwa, kto okiem pogodnym
Spojrzy na katów, kto wyciągnie ręce,
I błogosławić będzie swojéj męce:
Ten jest wybranym, ten palmy jest godnym,
Ten jako słońce zbawienia jaśnieje
I zmienia w owoc dojrzały — nadzieję.

K. Z.

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,

Powieści M. Czajkowskiego dotąd drukiem nieogłoszonéj.

(Dalszy ciąg.)

W tem z hałasem zamaszyście wpadł starosta Gnoiński: »I dzieciom moim zakażę, mieć do czynienia z wielkiemi panami.« — »Cóż tam ci się stało Samuelu?« — »Jeden przez zęby przecedził, że niechce się mieszać w tę sprawę, i radzi, aby panowie szlachta, jak się pokłócili, tak i pogodzili. Drugi zaś wyraźniéj odmówił, oświadczając, iż ma wiele przychylności dla Czarnieckich rodziny. Słuchaj Kazimierzu, póki twój ojciec był na czele dwudziestu tysięcy szlachty, wielcy panowie wówczas gotowi byli, lizać podeszwy twych butów, a teraz Stefan Czarniecki ciągnie z wojskiem; oni lecą skarbić łaskę nietylko jego synowca, ale ostatniego z jego ciurów. Nie takimi byli ich ojcowie! ale i synowie, wnukowie i prawnukowie takimi będą po wieki wieków.« — »Samuelu, ty ich za skwapliwie sądzisz, wszak i my do nich w części należemy.« — »Głupstwem naszém, że cudzoziemców jak oni małpujemy; otrząśnijmy się z tego, jeszcze czas; lepiéj przodkować dobréj szlachcie, jak być ogonem magnatów.« — »Cóż to oni lepszego od nas? wszak i nasze rodziny nie bez herbów!« — »Idź, wytłómacz im, że wieża Grudzińskich, albo łodzia Czarnieckich, a nawet warmja Gnoińskich i jastrzębiec Zborowskich, mogą stanąć na równi obok mitr i niemieckich hrabstw.« Skrzywił się wojewodzic, nie w smak mu ta mowa. — »Czy byłeś u Sieniawskiego? to mój dobry przyjaciel, nieraz podejmowałem go u siebie, w moim domie był gościem, nieodmówi mi téj posługi; jego ród piękny i dawny.« — »Widziałem, jak Sieniawski prosił Wesla, aby go przeznaczył do dragonii królewskiéj z jego pocztem, a tą dragonią dowodzi twój przeciwnik, pan starościc Zakroczymski.« — »Pójdę, zobaczę, on stąd niedaleko mieszka; spać jeszcze nie muszą.« — Wziął czapkę i wyszedł.

Gnoiński rzucił się na krzesło: »Ruszaj głupcze, żabo, co nadstawiasz nogi, kiedy konia kują. Nie dla ciebie panna Lanckorońska; czubcie się z Czarnieckim, może was obudwóch djabli pobiorą. Prosiłem dziś Wesla, aby mnie oddał w dowództwo chorągiew dragonii, jako dawnemu rotmistrzowi, jako wnukowi Zborowskich. Bez ogródki odpowiedział hardy Inflantczyk: wola króla Jegomości jest, aby nią dowodził pan starościc Zakroczymski. — Poczekajcie, kiedy za Czarnieckiemi już dla nas niemasz miejsca w koronném wojsku, pójdziemy go szukać gdzie indziéj. Wszak dla Polski wszystko jedno, czy Jan Kazimierz, czy Jerzy, czy Karól będzie jéj królować, byle Polska była Polską. Héj, Strynża!« — Niebawem wszedł dworzanin pana starosty: »Co wielmożny pan każe?« — Starosta zrzucił hiszpański płaszcz, kapelusz i inne stroje: »Weź wasześć to dla siebie, zrób co zechcesz; przygotować mi kurtę i szarawary podróżne, posiodłać konie, niech służba będzie gotowa, zaraz wyjedziemy; tylko cicho, nikomu nic nie mówić, a pospiesznie.« — Strynża podziękował, ściskając za nogi pana i wyszedł.

Starosta się przeciągnął: »No, chwała Bogu, zrobiłem rozbrat z tą maskaradą cudzoziemską, a teraz co będzie, to zobaczymy, i Gnoiński może znajdzie jakie miejsce nie zajęte przez Czarnieckiego.« — i dumał, a na szerokiéj twarzy i w błękitnych oczach wymalowało się twarde i dzikie postanowienie.

Już prawie szarzeć zaczynało na dzień, kiedy w ubogim domku na bednarskiéj ulicy, w izbie, któréj ściany były pokryte niedźwiedziemi, rysiemi i wilczemi skórami, na których były pozawieszane karabele, pałasze, kindżały, myśliwskie noże, pistolety, szturmaki i strzelby rozmaitego rodzaju, — a po pod niemi wisiały i leżały stalowe koszulki, misiurki, uzdy, munsztuki, bogate rzędy, siodła i inne przybory rycerskie: w kącie na rozesłanym kobiercu spoczywał już podeszłego wieku mężczyzna, głowę miał opartą na skórzanéj poduszce, całkiem przybrany, nawet szabli nieodpasał od boku; nie spał, tylko ciągle przypatrywał się młodzieńcowi opatrującemu broń. »Bogdajem nigdy na polu bitwy Niemcowi w oczy nie zajrzał, jeśliś Waćpan nie wykapany portret pana Stefana; takie czarne oko, takie wysokie czoło, taki nos; a kiedy się Waszmość obrócisz, to przysiągłbym, że pan kasztelan Kijowski przedemną stoi,

taka kibić; kubek w kubek, a potem, coś mi Waszeć mówił o sporze z panem wojewodzicem Kaliskim, widzę, żeś zawadijaka taki, jakim był stryjaszek za młodu.« — »Ależ Mości starosto, ja go niezaczepiałem, słowa prawdy wyrznąłem, a teraz niech się dzieje wola Boża.« — »O tem ani mowa: dobrześ Waćpan zrobił, gdybyś nawet był gębę ręką zasmarował temu paplaczowi, jeszcze bym tego niezganił. Co teraz, spuść się na mnie: nie damy sobie w kaszę napluć. Stukniecie się w pałasze, obetniecie się trochę, a zresztą hajda na konie i daléj przeciw Szwedom obadwa; potem o tem. Powiedz mi Waszeć, gdzie się obracają córki pana kasztelana, pani Leszczyńska, panna Alexandra, nie widziałem je wczoraj, a byłbym poznał; ja dobrze pamiętam, jakieście mi figle płatali. Mój Boże, takie pacholęta, a teraz co to się porobiło; jedna ma dzieci, a Waszeć mnie przerosłeś.... mów mi, gdzie one są.« — »Leszczyński wysłany w poselstwie do Szweda, żonę wyprawił w Krakowskie, Alexandra z nią. Leszczyński nie lubi, aby żona była przy dworze. Zawsze powiada: nabierze narowów, zcudzoziemczeje.« — »Powiadam Waćpanu, że ma prawdę. Nie tak by mi się serce krajało, widząc bisurmana wymykającego się z pod mojéj szabli, jak wczoraj, kiedym zobaczył króla bez wąsów. Bo czy to kto widział na tym Bożym świecie, bez wąsów król polski. To nie dziw, że Szwedy, Moskwa i Tatary na nas napadają, i bracia kozacy się buntują; kto wie, może jeszcze będzie gorzéj. Powiadam Waszmość panu, póki królowie nosili wąsy, póty Polska była zgodna u siebie a groźna sąsiadom, a teraz król bez wąsów!« — porwał się z łóżka — »a mężczyzni i kobiety, gdyby wertepowe lalki poprzebierane!.... powiedziałby kto, że dyalog mają grać na widowisko ludowi; mów mi Waszmość, co to znaczy?« — »Źle znaczy panie starosto; Król Jegomość, niech to będzie między nami, za nadto dobry do berła, a królowa Imość, choć wielkiego animuszu pani, ale zwyczajnie cudzoziemka, nawiozła z sobą cudzoziemców i ich obyczaje. Za króla Władysława jeszcze to jakoś było po polsku, ale teraz i młodzież i płeć piękna i starzy nawet się popsuli. Szlachta za baj bardzo ma króla, a panowie magnaci, choć mu nadskakują jawnie, pokryjomo bóty mu szyją. Już mówią, że marszałek koronny nie bardzo przyjazny królowi, z resztą Ojciec Krajewski z francuzami rej wodzą u dworu.« — »Proszę Waszmości na Jezuitów niepowstawać, i pan kasztelan ma przy sobie jezuitę Ojca Dąbrowskiego, a on lepiéj wie od nas, co dobre a co złe. Na cudzoziemców i na magnatów wygaduj, co zechcesz, mniejsza o to. Pana marszałka koronnego znam jeszcze Jerzym Lubomirskim z ojcowskim tylko tytułem; dzielny mąż, tęgiéj duszy, trochę dumny, chciwy godności, ale Polak nieskazitelny; z resztą niech magnaci i szlachta przed niewodem ryb nie łapią. Jak przyjdą nasi, damy my Szwedom i im po tebinkach; bo u nas, choć król bez wąsów, dla całości kraju trzeba szanować i bronić majestat tronu.« — »Panie starosto, przestańmy o tem, a pozwolisz mi się zapytać o dawnych znajomych, o Szandarowskiego, o Teterę.« — »Szandarowski rotmistrzuje chorągwiom pancernym księcia Wiszniowieckiego, zawsze rubacha, dobry żołnierz do szabli, dobry towarzysz do szklanicy, bogdaj tacy ludzie rodzili się i na kamieniu. A co Tetera, powiadam Waszmość panu, że śliczota nie chłopiec, całą gębą chwat; dosyć powiedzieć, że pan kasztelan oddał mu w dowództwo półk kozacki i pozwolił kozakom, nazywać się Semenami, od jego imienia, taka sława rzadko komu się nadarzy. Panowie hetmanowie koronny i polny jak własne dziecię go kochają, a ja wnosiłem, żeby odebrać temu psu Chmielnickiemu Atamaństwo, i dać go Teterze; bo choć jeszcze młokos ledwie dwadzieścia pięć lat się doliczył, niepowstydzi krwi tatunia, co tak dokazywał pod Stefanem Batorym i Zygmuntem, ojcem dziś nam panującego, że aż jemu, prostemu kozakowi, dano szlachectwo, herb, starostwo i podkomorstwo. Zobaczysz go Waćpan i tutaj i w boju, a powiesz, czy nie za mało jeszcze powiedziałem.« — »A pan hetman polny, czy się postarzał.« — »Jak rydz jeszcze krzepki, my na Ukrainie nie tak się to starzejemy, jak się Waszmościom zdaje. Wiatr stepowy dobrze zawędza ciało, ale to nic nie znaczy. Waćpan się bierz do panny hetmanównéj, o posag się niefrasuj, wyliczy hetman zapleśniałemi holendrami, będzie z czego żyć, a po śmierci i spadek się dostanie. Wszak panna Joanna teraz jedynaczka. Hetman się żenić drugi raz nie myśli, chyba z mogiłą.« — »Ale panie starosto, ja nie myślę wcale o hetmanównie, to za wysokie progi na moje nogi.« — »Co Waszmość pan gadasz, alboż to są za wysokie progi na szlachcica polskiego nogi. Z resztą ja nie spowiednik, za język Waćpana nie ciągnę, co niechcesz powiedzieć, to chowaj dla siebie; widziałem wprawdzie, jakeś się wczoraj mizdrzył do francuzicy, coś za nią stał u stołu; ale ja to wiem, że u was młodych: piroga chcę, a chleba powszedniego nie porzucę.« —

Tu się otworzyły drzwi, i wszedł namiestnik od królewskiéj dragonii: »Mości panie rotmistrzu, przedstawiam Waszmość panu, że pan Samuel Gnoiński, starosta Hrubieszowski, z licznym pocztem swoich dworskich chce wyjeżdżać z Warszawy, czy mam go puścić,

czy tu go prosić do Waszmość pana?« — »Mości namiestniku, proś Waszmość tu pana starostę na chwilę.«

Po chwili wszedł Samuel Gnoiński z zasierdzoną twarzą: »Mosanie starościcu, od jakiegoż to czasu szlachcie polskiéj niewolno wyjeżdżać za zastawy, bez pozwolenia Czarnieckich?« — »Mosanie starosto Hrubieszowski, bez przytyków, bo na przytyki znajdzie się u mnie odpowiedź!« i wziął za rękojeść szabli, »ja spełniam wolę królewską, i zapytuję, dokąd Waszmość pan jedziesz?« — »A Waszmości co do tego, kiedy grozisz, i ja mam kord!« i ręką ujął za karabelę. — Stary Wąsowicz wskoczył między nich: »Mościpanowie, a zgoda! czy na to szable nosicie, abyście się tylko między sobą wadzili, kiedy wróg naszą ziemię grasuje. Waszmość Mości starościcu spełniaj swój obowiązek, a więcéj wara; a Waszmość panie starosto, szanuj wolę króla, to nasz panujący; a sam jeden tego niezwalisz, co zrobili wszyscy, daremna pokusa.«

Jędrny głos i widok szpakowatéj głowy Wąsowicza pohamowały bundiuczenie się dwóch zawadyaków. Wąsowicz obrócił się do Gnoińskiego: »Panie Samuelu, czyż to Waszeć mnie niepoznajesz? czyż to my się z sobą pierwszy raz widziemy?« — Gnoiński rzucił mu się w uściski, po staropolsku z prawéj i z lewéj strony w usta się pocałowali. — »Panie Krzysztofie, wczoraj jeszcze ciebie poznałem, ale myślałem, żeś z-Czarneciał i na nas niezechcesz patrzyć.« — Dałbyś tam czysty pokój tym waszym zawiściom. Choć to obwieś wielki, ten Chmielnicki, ale dobrze powiada: wodę warz woda będzie, chciéj nieład szlachty w ład wprowadzić, nieład będzie. Ale dokądże to Waszmość wyjeżdżasz? niechceszże być z nami? wszak z ciebie nielada rębacz?« — »Ja jadę do Krakowa, tam mój brat Mikołaj z pułkiem hajduków załogę trzyma, a kiedy mam być pod czyjemś dowództwem, lepiéj być pod swojego, jak pod obcego; a teraz Mości starościcu wiesz, gdzie jadę i po co, czy ci dość na tem, czy trzeba innego dowodu?« i wskazał na karabelę. — »Dowodu Waszmość pana się nielękam, gotowem nań odpowiedzieć; a co wyjechać z Warszawy, możesz.« Wąsowicz pokręcił wąsa: »Jasiu, przepraszam Waszmościa, Mospanie starościcu, nasi ojcowie nietak się rozjeżdżali, każ grzyniesć miodu przynajmniéj, jeźli niemasz węgrzyna.« — Staroście krzyknął: »Bartłomieju, miodu!« I pacholik wzniósł butelki. — Wąsowicz ponalewał kubki, a choć Gnoiński zwadzał się długo, nareście przystał, żeby wypić: »Niech się szczęści orężowi naszemu!« — wypili. — Wąsowicz wniósł drugi wiwat: »Niech żyje król Jegomość!« z cicha dodał: »choć bez wąsów.« —

Gnoiński milczkiem pił, kiedy zgrabnie i fertycznie wszedł młodzieniec w czarnym hiszpańskim płaszczu, w czarnym kapeluszu z piórami, i zagaił łaciną jakiegoś dziwnego brzmienia: »Panie starościcu, upraszam czci waszéj o wskazanie mi świadka i przyjaciela swego, abym się z nim rozmówił o wiadoméj mu sprawie;« a obracając się do Gnoińskiego, powitał go: »I jakiż to szczęśliwy traf pozwala mi jeszcze raz widzieć pana starostę na tem miejscu?« — Staroście odpowiedział: »Przepraszam pana hrabiego, żeś się tak rano trudził, oto jest mój przyjaciel i świadek, pan Krzysztof Wąsowicz, starosta Żytomirski, dowódzca lekkich chorągwi pana hetmana polnego.«

Gnoiński pożegnał się i wyszedł, a hrabia z Châtre z Wąsowiczem oddalili się do drugiéj izby, dla naradzenia się o czas, miejsce i broń, a kiedy powrócili i hrabia odszedł. Wąsowicz zawołał: »Zkądże Waszmościowie wyrwaliście takiego łacinnika szepleńca, ale zresztą niczego człowiek, świadomy rycerskiéj sprawy, tłumaczy się bez ceregielów, wprost do rzeczy przystępuje; naznaczyliśmy na godzinę ósmą, trzeba się spieszyć, bo niebawem nadciągnie pan kasztelan Kijowski, a byłoby źle, żeby się dowiedział; zwłaszcza, że Waszmość naznaczonym jesteś do pomocy panu Weslowi. A teraz opatrzmy szable, może i mnie przyjdzie się postukać, bo gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą.« I jęli się obadwa do opatrywania szabel.

Słońce jaśnie, pięknie wzeszło; ze złotego oblicza szczodrze sypie złotemi promieniami na dobrydzień tym tworom, co mają oczy, aby go witały; na zaweselenie tym, co mają pstrekolory, aby niemi się pochwaliły przed okiem słońca i przed oczyma żyjących tworów. Warszawa, Zygmuntowa stolica, zabielała nowemi domami, a Wisła polska rzeka od piaszczystego koryta złocistym połyskiem zalskniła swoje wody.

W mieście jak w obozie rycerstwo konno się uwija, ciury wodzą objuczone konie, pacholiki i służba pakują rupiecie, na wozy, bryczki, kałamaszki, i do kolas uwiązują tłumoki i skrzynki; stangreci i fornale pasują chomonty, szory, nawiązują szleje, i na próbę nad końców klaszczą z batów, jak na weselne wiwaty. Jegomość zrzędzi na nie pośpiech i często gęsto od ucha pociągnie cybuchem po plecach pacholików dla dodania ochoty. Imość i imościanki wrzeszczą, jak oparzone: Kasiu! Basiu! Dorotko! tylko mi stroików niepołam, tylko mi robron, manel niepognieć! Dzieciaki śmieją się i płaczą, i drapią się do kolasy, na wozy. Młode pacholiki rwą się z kopyta do pakunków i głowy tracą, a stare sługi gderzę i pomaleńku swoje robią. Wszędzie taki ruch

ścisk, jak w czasie pogorzeliska miasta; taki szmer, wrzask, jak w dzień szabasowy w żydowskiéj bożnicy, a taki strach, jak u żydów w wigilią sądnego dnia, kiedy djabeł ma porwać jednego. Zewsząd słychać głosy: Szwedzi już tuż, tuż pod Warszawę rypią, uciekajmy na Litwę w lasy, albo między pińskie bagna!

W królewskim zamku już wszystko popakowano, dziedziniec zastawiony kolasami i podróżnemi brykami. Król w swoich osobnych komnatach zamknął się z radnymi panami; królowa w królewskich pokojach przyjmuje panów, szlachtę Polski i Litwy; i słowem i uśmiechem i postawą krzepi w nich odwagę do upartéj obrony zachęca, a często nawet stósowne rady daje.

Panie i panny dworu, wysłuchawszy mszy świętéj w kaplicy królewskiego zamku, albo w Bernardyńskim kościele, zgromadziły się w ogrodzie zamkowym i przechadzają się. Ogród ten trzema piętrzeniami się zniżał ku Wiśle, świeżo zasadzone szpalery z lip i brzostów jeszcze niezacieniały widoku, we środku kwatery w trójkąty, kwadraty, równoległoboki, koła i półkoła powysadzane kwiatami; słonecznik opromieniony jasno żółtemi listeczkami, mszący się trochę ciemniejszym środkiem, obracał swoją twarz ku słońcu; na bujnych malmach w około zielonych łodyg, różowe, amarantowe, białe i żółte kwiecie tak gęsto błyszczą, iż tłumią liście. Z pomiędzy kolców, barwą uśmiechu przymila się róża; przy ziemi piwonia czerwieni się rozłożystym kwiatem, ostróżki majaczeją błękitem, a stokrocie pstrą barwą migocą w oku. Kwatery dokoła poobsadzone macierzanką i rutą; scieszki i ulice pod sznur ciągnięte i wysypane żwirowatym piaskiem. Gdzie niegdzie sterczą altany kwadratowe i okrągłe owinięte gęsto powojem, i gdzie niegdzie pod staremi lipami kanapki z darni do siedzenia.

Hrabina z La Grange w dezabilku popielatym mucharejowym, w podróżnym birecie na głowie; stara baba szastała się, gdyby piętnastoletnia dziewczyna. Wrzeszczy na służebną: »Magdaleno, pamiętaj, żeby mój bonończyk miał miękkie posłanie, a papudze niebardzo zakrywać klatkę, żeby się niezadusiła.« To przebiegnie się do jednéj panny: »Tak jesteś ubrana, żeby i Szwedzi twego stroju się niestraszyli; popraw kazakinkę, przypudruj lewy pukiel.« Do drugiéj: »Prześlicznie, szustmanka fałdziasta, szeroka, wygodna, szyniony z gustem.« A potem obróciła się do pani Sandomirskiéj: »Marysiu, niewidać ani Ludwika z Châtre, ani Montresora, co to ma się znaczyć? posyłałam do Ludwika, aby tu przyszedł jak najprędzéj.« — Pani Sandomirska zbliżyła się do matki: »Wszak mama wiesz, że o téj godzinie ma się bić pan starościc Zakroczymski z panem wojewodzicem Kaliskim; Montresor nam o tem mówił.« — »Zapomniałam wiecznie,« i z przygryzkiem dodała: »o posag warto, ale o pannę nie. Niebędzie ona nigdy naszą.«

Téj ostatniéj rozmowy matki z córką niesłyszały inne kobiety, ale już wszystkie zaczynały się zgromadzać koło hrabiny z La Grange: jedna, aby ją powitać, druga, aby przed nią pochwalić się ze swoim strojem, a wszystkie, aby od niéj usłyszeć choć jedne słówko, i drugim powiedzieć: mówiłem dziś z tą nieoszacowaną panią, z La Grange: jakaż ona dobra, coby to była za strata dla Polski, gdyby ona oddaliła się od dworu. — Nie jedna może nie tyle widziała klęski dla ojczyzny z najścia Szwedów, jak ze śmierci albo z odjazdu hrabiny z La Grange; tak to moda wówczas i zawsze przewracała i przewracać będzie głowy kobietom.

Kilka tylko panien nie zbliżyło się, stały na ostatniem piętrzeniu się w prost przeciw rzeki, i ciekawem okiem rzucały na pola ciągnące się ku Grochowowi. Jeszcze wtenczas nie wiele domów było na Pradze. Na prawéj stronie Wisły porozrzucane przylaski za spoczynek służyły oku, a karczewski szlak, jak wstęga piasku, bieżał w górę pomiędzy niwami niedośpiałego zboża. To małe grono panien składało się z Joanny Lanckorońskiéj, Anny Sapieżanki, Rozalii Potockiéj i z Francuzki Ludwiki z Groseuvre; ta ostatnia zapytała: »Czy tędy ma ciągnąć wojsko pana kasztelana Kijowskiego?« — Panna Lanckorońska odrzekła: »Szlakiem z Karczewia, ale czy widzicie tych czterech jeźdźców, trzech na lasek pobiegło, a jeden zatrzymał się przy strażach.« — I wszystkie wytężyły oczy; trzéj jeźdźce skryli się w lasku, a ten, co rozmawiał ze strażami, żywo za niemi poskoczył.

»Ja wiem, kto to jest,« zawołała Sapieżanka, »to pan starościc Zakroczymski! poznałem jego kasztanowatego konia;« i zapłoniła się. — »Wyśmienicie dobre masz oczy,« przerwała panna Potocka, »ale ty Joasiu niepoznałeś swojego wczorajszego kawalera.« — »Ja patrzyłam na tego Hiszpańczyka w płaszczu, w kapeluszu z piórami, to pewnie musi być któryś z panów Francuzów.« — Panna z Grossuvre dodała; »I czemu niepowiedzieć wyraźnie, że to hrabia z Châtre; serduszko pewnie wprzódy odgadło, jak oczki, wszak prawda?« — Zaśmiała się panna Lanckorońska: »Być może, a więc Bogu chwała mam dwóch: hrabiego z Châtre i pana starościca.« — Anna Sapieżanka niebardzo zważała na rozmowę, ale ciągle patrzyła w stronę lasku: »Powiedźcie mnie moje panie, czy pan starościc ma przywodzić dragonii królewskiéj, która nas będzie odprowadzać do Krakowa?« — Panna Potocka spojrzała

jéj w oczy: »Cóż tak pannę Annę obchodzi pan starościc?« — »Dla naszego bezpieczeństwa wolałabym być pod opieką tak dzielnego wojownika, jak pod czyją inną.« — »Oj, nie to to. Polacy wszyscy dzielni wojownicy, ale widzę, że panowie Czarnieccy tak teraz w modzie, jak szyniony pani z La Grange.» — »Proszę ciebie, nie mieszaj imienia Czarnieckich z dziwolągami téj cudzoziemki,« odezwała się panna Lanckorońska, i w jednéj chwili dłonią zakryła sobie usta: »wygadałamże się.« — »Nie frasuj się, Joasiu,« rzekła panna Potocka, »panna Ludwika niepowie tego swojéj współrodaczce, ona także woli Czarnieckiego któregokolwiek, choćby nawet starościca Zakroczymskiego, jak to stare paryzkie czupiradło. Wszak prawda? przepraszam ciebie Joanna, wszak to do ciebie należy pan starościc i ciebie Anno tyś poznała jego kasztanka; nie kłóćcie się, ja wam pociągnę na węzełki,« wzięła chustkę, związała węzełek na jednym końcu, a kładąc inne trzy w dłoń i tylko przepuszczając przez nią same koniuszki: »kto z węzełkiem wyciągnie, temu się dostanie pan Jan Czarniecki, a kto bez węzełka, ten się musi cieszyć hrabią z Châtre, — ciągnijcie!« — Ludwika z Grosouvre i Sapieżanka zarumieniły się, ale nic nie odpowiedziały, a panna Potocka sama porwała za koniec ckustki: »No, to ja wyciągnę za Lanckorońskę, — masz, bez węzełka wzięłaś; trzymaj się teraz z pięknym hrabią — słuchaj, Joanno!« — »Daj mi czysty pokój, patrz, jak kurzy się na szlaku od Karczewia,« i zawołała: »wojsko idzie, wojsko idzie! — »Wnet wszystkie panie i panny rzuciły hrabinę z La Grange, biegły ku rzece, i hrabina kazawszy sobie podać bonończyka i papugę, żeby też i one widziały hufce polskie, poszła za niemi. Niebawem przybyli król i królowa i mnoga ilość mężczyzn, nawet służba dworska biegła patrzeć na to widowisko.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Moje wspomnienia, *przez Alexandra Jełowickiego.* 2 *tomy.* 1839.

(Ciąg dalszy.)

Co też to za miasto, ten Kraków! Jak się wspomni o nim, to serce rośnie miłością, i wzdycha się żalem, jak się spojrzy na niego to oko i łzą zajdzie i dumą zabłyszczy. Tyle o nim pamiątek wielkości i sławy narodowéj, tyle znaków klęsk i poniżenia, że mury Krakowa żywcem pokazują koleje, przez jakie naród nasz przechodził, i wszystkie razem wieki jego stawią przed oczy. — Ojciec (pisze autor) tak nam zachwalał Kraków; a więc zbliżaliśmy się do niego z uczuciem dziecinnego przywiązania do tych resztek świetności Polski; z uczuciem czci religijnéj dla téj świątnicy, co mieści w sobie tyle pamiątek, co tylu wodzów była kolebką a dziś jest grobem, co usposobiła tylu mężów sławnych w boju i radzie, mężów, co zajaśnieli na świecie i ramieniem i głową i szablą i piórem. — W tem nagle powóz skręcił, umknęła się góra i ukazał nam się w rozkosznéj dolinie czarowny Kraków. Czterdzieści wież strzeliło do góry, pokazując ludziom, gdzie szczęście, gdzie opieka dla nieszczęśliwych; pomiędzy wieże w około świątyn pańskich skupiło się starożytne miasto, a nad miastem czuwa odwieczny Wawel, z którego niegdyś oko Zygmuntów poziérało z ojcowską dumą na szczęście Polski, a teraz tylko kiedy niekiedy, dzwoń Zygmuntów, jak gdyby grobowe westchnienie wielkich mężów téj ziemi, zajęczy.

Z daleka patrząc na zamek, znać już, że pomarli panowie jego a nie dzierzą go ich potomki. Smutne miasto i zamek smutny — pusty zamek i miasto puste. — Zamek stoi otworem, strzegą go tylko pokruszone baszty; i miasto też stanęło otworem, rozpadły się jego mury, bramy mu już nie potrzebne. — Wesołe przedmieścia rozrzuciły się w około miasta, jak gdyby nietraciły nadziei wesela, a Wisła macierzyńskiem uściśnieniem łagodzi ciężki smutek zbolałéj stolicy, a szemrząc jéj ciągle przeczucie szczęścia i chwały mignie obrazem przeszłości i tęskną żałość na chwilę ukoi. Ze trzech stron trzy mogiły ogromnym trojkątem, jak gdyby okiem opatrzności patrzą na Kraków; dwie mogiły stanęły po jednéj stronie Wisły, trzecia po drugiéj, jak gdyby mówiły: i tu i tam ziemia nasza; a jedna mogiła naucza, jak tę ziemię rozszerzać, druga, jak ją wskrzesać, a trzecia, jak ją kochać. Zachodzące słońce oglądając się na południe, na śnieżnych Karpatach napisało promieniami swemi tu granica Polski, a oglądając się na północ i wschód, żegnając, po rozległéj, jak cała Polska równinie, ścieląc swe promienie od morza do morza, ozłociło całą Polskę na przypomnienie jéj złotych wieków. — Zajście słońca odebrało nam wjeżdżającym ten cudny widok, wjechaliśmy do Krakowa razem z ciemną nocą. —

Wkrótce już miały się zacząć nauki akademickie; ojciec zaprowadził mnie do Gertlera, zwierzchnika akademii. Gertler przyjął nas grzecznie, a jak przeczytał moje świadectwo z gimnazyum Winnickiego, powinszował i dał rozkaz w pisania mnie na listę uczniów akademii. — Za kilka dni oddał nas ojciec w opiekę Sołtykowicza, a sam do Wiednia pojechał. Sołtykowicz, na ówczas lat sześćdziesiąt liczący, był pełen powagi i wdzięku pięknéj starości; kochany i szanowany przez cały Kraków był wyrocznią w tem wszystkiem, co powiedział: mianowicie powaga jego była wielka na zgromadzeniach uczonych w murach uniwersytetu Jagiellońskiego, którego był najprzód uczniem, a mając lat 20, był już w nim nauczycielem. — Doktór wszystkich wydziałów akademickich, pisarz wyborny, mówca najlepszy, ukończywszy zawód nauczycielski, z chwałą nieprzestawał, oddawać się pracom dziejopisarskim i literackim. — Oprócz dzieła o stanie akademii Krakowskiéj, dzieła pełnego szacownych poszukiwań, i zamożnego w bogactwo ojczystego języka, napisał jeszcze ważne dzieło: *O przyczynach nędzy i upadku naszych Włościan i o środkach im zaradzenia*; późniéj inne: *O wpływie umiejętności i nauk na towarzystwo ludzkie*; dzieło to pełne ścisłości myśli, głębokich pojęć, trafnych postrzeżeń, jest bardzo zajmującą filozofią rozumu ludzkiego. Nadto pisał wiele rzeczy mową wiązaną i niewiązaną, ale za życia nie wydał. Przy nas czytywał jeszcze rozmaite rozprawy na posiedzeniach towarzystwa naukowego; gdy miał co czytać, wybierano wtedy największą izbę, a ta zaraz napełniała się słuchaczem: gdy zaczynał czytać, nastawało w zgromadzeniu ciekawe milczenie. Miał głos cichy, ale tak wyraźny, że we wszystkich uszach tak się odbijał jakby cały i nierozdzielny, do ucha każdego doleciał; a dzwięk tego głosu tak śpiewny, że prosto leciał do serca, a wyraz każdy tak jasny, że prosto leciał do rozumu.

Taki był nasz mistrz w Krakowie. — Sołtykowicz, czyli (jak chciał żeby go nazywać) Jegomość, trzymał swych uczniów bardzo łagodnie ale niezmiernie krótko. Nigdzie samym wychodzić niepozwalał, a każdy kto szedł do akademii

to nie sam ale z sługą Piotrem, który też nim godzina wybiła już stał u drzwi i nie pozwalając rozprawiać bardzo ze swymi współuczniami, nazad pędził do domu. Nudziło to mię z początku; rozpowiadałem Jegomości jak ja to będąc jeszcze w szkołach w Winnicy, hulałem konno po mieście i po sąsiedztwie, jak ja to jeździłem sam do Odessy, jak starego wilka zabiłem, ale nic nie pomagało, więc trzeba było oswoić się z panem Piotrem, jak z cieniem swoim. — Pomiędzy ówczesnymi nauczycielami był przedziwny Józef Markowski, liczył już lat blisko 80. Wysłany przez akademiją krakowską do Paryża dla doskonalenia się w chemii, a zaskoczony tam przez rewolucyą, został tam doktorem sztuki lekarskiéj, dawał publiczne nauki, był potem lekarzem przybocznym cesarzowéj Józefiny, wszedł w zachowanie w całym Paryżu, miał mnóstwo pieniędzy, ocierał się o wszystkie osoby owego czasu, był świadkiem najważniejszych we Francyi wypadków i tam pozostał aż do powrotu Burbonów, potem akademia krakowska naparła się, żeby wrócił i kazała mu uczyć chemii i mineralogii. Nic zabawniejszego jak sposób jakim wykładał swoją naukę, bo to co mówił w jednymże czasie i rysował i ruchem ciała oddawał, a każdą naukę zaprawiał zastósowaniem mianowicie lekarskiem, przytaczając cudowne swoje leczenie w Paryżu, i rozweselał opowiadaniem rozmaitych wypadków, zawsze stósując do przedmiotu i zawsze zaczynając od słów »jakem był lekarzem cesarzowéj Józefiny.« Ucząc n. p. jak robić wodę selterską, opowiadał jak tam wyleczył nią doskonale znacznego jakiegoś suchotnika czy suchotnicę; a gdy mówił o świetle to zaraz opowiadał jak tam jakiegoś marszałka lub xiężnę wyleczył zimną wodą od zgniłéj gorączki, a jak przyszło o cieple to zaraz mówił jak to tam trefnisie paryscy, albo uczniowie, co to tylko nocują w domu a cały dzień w szkole albo na gawronieniu się, to mówi »wstaje rano, brru zimno — trzęsie się Francuz, więc ręce zaciera, a ma piecyk blaszany — więc włoży w ten piecyk arkusz papieru — zapali go — zaraz mu cieplo w całym pokoju; nim się papier spali panicz ubrał się i wyleciał na miasto, już nie powraca jak na noc; wtedy półarkusza spali i ciepło mu się rozbierać.«

Po trzechletnim pobycie w Krakowie, udał się autor na uniwersytet warszawski. W owéj epoce (1824 — 25) uniwersytet warszawski miał przeszło 1200 uczniów, miał liczny księgozbiór, bogate zakłady, obszerne gmachy i wielu dobrych nauczycieli. Wykład literatury polskiéj był najświetniejszy, a było do niego dwóch nauczycieli, szumny Osiński i serdeczny Brodziński. Pierwszy był dobitnym wyrazem zapleśniałéj starzyzny, drugi wyobrazicielem wzrastającego postępu. Brodziński dopiero nabywał sławy; cichy, spokojny, czuły, żołnierz i poeta. Osiński zarozumiały, nadęty, dowcipniś i wierszopis a tak roztrąbił swoją sławę przesadnem czytaniem, że pierwszy raz przychodziło się na jego wykład, jak do wyroczni, jak na posłuchanie do mocarza wszystkich rozumów. Na wykład Brodzińskiego szło się jak do poufałego przyjaciela, a wychodziło się zawsze z sercem rozczuloném i łzą w oku. Wychodząc pierwszy raz z wykładu Osińskiego, wspomnieć sobie było trzeba sławne *parturiunt montes, nascetur ridiculus mus.* Pomimo to wykład Osińskiego był uprzywilejowańszy, przychodzili nań paniczowie i kobiety wielkiego świata. Pan Osiński spieszy tam z jakiegoś obiadu, gdzie bawił ostrym dowcipem, wpada do domu, porywa co mu się nawinie ze starych szpargałów, i parę książek na zapas; leci, już jest, już się wysapał i wśród oklasków poważnie zasiada: dopiero patrzy co tam za papier złapał; jeżeli trafił szczęśliwie na dalszy ciąg przeszłego wykładu, to zaczynał od słów »w dalszym ciągu i t. d., jeżeli co innego porwał, cedzi przez zęby; że dla odmiany przedmiotu będziemy dzisiaj rozbierać co następuje: i dopiero czyta bo nigdy nic mówił; czyta gładkim i posuwistym językiem a głosem donośnym i miłym; szumu wiele ale rzeczy mało, a jak wpadnie na wiersze to te, które chce pochwalić czyta wspaniale, które chce zganić czyta słamazarnie i wady wiersza naciska głosem złośliwym. Nowością wtedy był Mickiewicz, co utworami swemi jak raca wymknął się z pomiędzy tłumu do góry i sypał niegasnącemi gwiazdami; jedni ten dziw pojęli, drudzy jeszcze nie. Zazdrosny Osiński spotkawszy się kiedyś z dziadami, Mickiewicza przeczytał.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie.

A nie czytając daléj rzucił książkę dogadując:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Głupio było, głupio będzie.«

Taki był dowcip Osińskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Biografia Kościuszki napisana przez Falkensteina, przetłómaczona została na język francuzki przez K. Forstera. Jedno pismo zagraniczne dziwi się temu i słusznie. Dzieło Falkensteina, jakkolwiek najlepsze chęci i przywiązanie do osoby bohatera naszego okazuje, nie może jednak wytrzymać krytyki i jest w wysokim stopniu lekkomyślnie napisane. Między mnóstwem błędów znajduje się i w tłómaczeniu francuzkiém powtórzone, że Kościuszko, opuszczając Warszawę, idąc pod Maciejowice, zebrał wojska, przemówił do niego i zaśpiewał: »Jeszcze Polska niezginęła.« Autor zapomniał, iż marsz Dąbrowskiego we Włoszech w lat sześć później był utworzony. Takiemi anachronizmami napełnione jest całe dziełko.

W Warszawie wyszło w b. m. dzieło w dwóch tomach: »Ogólny rys encyklopedyi czyli główne wyobrażenie o umiejętnościach, naukach, sztukach pięknych, rzemiosłach, odkryciach, wynalazkach dla użytku płci żeńskiéj« przez Milewskiego. — Tamże opuścił prassę: »Zbiór myśli wierszem« przez Kalixta Pawłowskiego, kapitana byłych wojsk polskich. — Druk dzieła »Zasady technologii chemicznéj gospodarskiéj« przez J. Belzę z początkiem roku przyszłego będzie ukończony.

Wszystkie odciski obrazu Rembranda Liepmana już rozprzedane zostały; zatrudnia on się obecnie obrazem Tycjana, który ma zamiar ukończyć w końcu b. r. Nadzwyczajny pokup jego dzieła podał mu sposobność ulepszenia swojéj machiny.

Gaszyński ukończył tłómaczenie fracuzkie Anhellego.

Pan Wysocki przybył obecnie do Krakowa; tamtejsi lubownicy muzyki mają nadzieję, że się da w publicznym koncercie słyszeć.

Oświadczenie.

Ponieważ redakcya numera Tygodnika jak najregularniéj wydaje, uprasza przeto tych Szan. Prenumeratorów, którzy jakiéj przerwy lub zamieszania w odbieraniu tego pisma doznali, aby swe zażalenia redakcyi Tygodn. końcem zapobieżenia złemu, w listach frankowanych przesłać raczyli.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*